

stephen
l. carter

rada pałacowa

Z języka angielskiego przełożył
Witold Kurylak



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

ROZDZIAŁ 1

Przyjazd do miasta

(I)

Gdyby Eddie Wesley nie należał do ludzi, na których można polegać, nigdy nie potknąłby się o to ciało, nie goniłby Junie aż do Tennessee, nie toczyłby nierozstrzygniętej walki z diabłem i nie pomógłby obalić prezydenta. Ale Eddie miał to szczęście, albo też nieszczęście, być człowiekiem godnym zaufania, a to prowadziło do braku rozwagi w dążeniu do celu. W życiu kochał tylko dwie kobiety, miłością tak przepelnioną wielką lekkomyślnością, że trudno było go lubić, i dlatego też, gdy nadeszła odpowiednia chwila, był w stanie uratować kraj, który znienawidził.

Człowiek bardziej rozważny mógłby sobie z tym nie poradzić.

Z kolei Aurelia miała własny system wartości, bardzo konwencjonalnych, bardzo amerykańskich, więc już od samego początku bardzo różniący się od systemu wartości Eddiego. Kiedy każde z nich poszło swoją drogą, nie było najmniejszego powodu sądzić, że kiedykolwiek połączą siły, nawet po wydarzeniach tej pamiętnej Niedzieli Palmowej i po tym, co się wydarzyło w Hongkongu — a jednak się połączyli, bardziej z potrzeby niż z wyboru, walcząc w osamotnieniu dalej, kiedy już wszyscy inni zrezygnowali lub stracili życie.

Prawie wszyscy.

(II)

Edward Trotter Wesley junior pojawił się ni z tego, ni z owego w Harlemie w maju 1954 roku, zaledwie kilka dni po ogłoszeniu przez Sąd

Najwyższy zakazu segregacji rasowej w szkołach publicznych, tej przełomowej decyzji, która zdaniem Eddiego kryła w sobie jakieś oszustwo. Dyplom uzyskał w Amherst, po studiach pracował przez kilka mało interesujących lat na Uniwersytecie Browna, dzięki matce zdobył kilka kontaktów towarzyskich, a sam upragnioną pracę w „Amsterdam News”, którą jednak z obrzydzeniem rzucił już po trzech miesiącach. Nie zdawał sobie sprawy, tłumaczył wówczas w liście do ukochanej siostry Junie, jak bardzo marne i nieistotne jest to stanowisko. Złośliwa Junie przekazała jego list ich srogiemu i pryncypialnemu ojcu, pastorowi z Bostonu i eseiście, który właśnie przebywał w Montgomery, w Alabamie, gdzie pomagał zorganizować bojkot lokalnych sklepów i zakładów usługowych, w których obsługa nie chciała mówić „pan” czy „pani” do czarnoskórych klientów. Wesley senior, jak sam lubił być nazywany, był dalekim krewnym Williama Monroe Trottera, czarnego dziennikarza, przed laty aresztowanego za rzucenie papryką w celu zakłócenia wystąpienia Bookera T. Washingtona, i odziedziczył odrobinię żaru przodka. Po powrocie do Bostonu natychmiast odpisał Junie, okraszając list nadmiarem cytatów z Nowego Testamentu, w większości traktujących o ciężkiej pracy, i polecając córce, aby się nimi podzieliła z bratem. Eddie przeczytał je wszystkie: Drugi List do Tesaloniczan 3, 10 do tego stopnia podsycił jego wściekłość, że przez miesiąc nie pisał do rodziców, bo również sam Eddie należał do ludzi wybuchowych. Kiedy w końcu udało mu się, pracując dorywczo to tu, to tam, zebrać dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na telefon, całymi tygodniami nie chciał podać swojego numeru rodzicom. Wesley senior uważał Eddiego za lenia. Ale we własnym mniemaniu Eddie po prostu dążył do celu. Nie chciał pisać o wrakach samochodów i przemówieniach wielkich przywódców rodzącego się ruchu na rzecz Murzynów. Chciał pisać opowiadania i powieści, doszedł więc do wniosku, podobnie jak wielu autorów przed nim, że praca zarobkowa tylko sparaliżuje jego powołanie. I dlatego też, przynajmniej na razie, wiódł żywot pasożyta.

Matka przysyłała pieniądze, samochody były myte, posiłki podawane, gazety sprzedawane. Obok jego mieszkania na Sto Dwudziestej Trzeciej za rogiem znajdował się żydowski sklep spożywczy — tak właśnie mówino: żydowski, ale odnosiło się to do właściciela, a nie kuchni — i Eddie przez jakiś czas dorabiał tam na drugą pensję, stojąc po no-

cach za kasą, czytając i pisząc na ladzie, ponieważ klientów było niewiele. Ale nadarzyła mu się lepsza okazja. W tamtych czasach większością bardziej zapuszczonej części Harlemu zarządzał niejaki Scarlett, osobistość, która doszła do władzy po tym, jak legendarny Bumpy Johnson, król murzyńskiego półświatka, po raz trzeci został skazany na karę więzienia. Scarlett był właścicielem klubu nocnego na Sto Dwudziestej Ósmej oraz wielu jeszcze innych interesów i podobno opłacał się Frankowi Costello, następcy Lucky'ego Luciano i ówczesnego największego szefa mafii w Nowym Jorku. Był eleganckim Jamajczykiem, podobnie jak Bumpy wywodzącym się ze starego gangu Czterdziestu Rozbójników. Cieszył się popularnością na ulicach. Lubił zaglądać do sklepów i dokonując małego zakupu, wyciągać ogromny zwitek pieniędzy z kieszeni swojego skrojonego na miarę garnituru, żeby zapłacić banknotem o wysokim nominale, a potem mówił zachwyconemu właścicielowi, żeby zatrzymał resztę, ugruntowując w ten sposób opinię człowieka szczodrego — mniejsza o to, że za tydzień jego ludzie pojawiają się tu, żeby z tego samego sklepu ściągnąć pieniądze za ochronę. W wieku dwudziestu siedmiu lat, mając za sobą ponury okres służby wojskowej, Eddie Wesley bynajmniej nie miał opinii zabijaki. Miał jednak kolegę, który znał kogo trzeba, i nim Eddie się zorientował, już wykonywał przeróżne zlecenia aroganckich i tajemniczych ważniaków, powiązanych, lub też nie, ze Scarlettem. W ten sposób zarabiam na życie, mówił Eddie sobie, choć nie rodzicom; dopóki nie zostanie odkryty jako pisarz; a poza tym zdobędzie też materiał do opowieści, które pewnego dnia będzie snuł. Gdy czasami opadały go wątpliwości moralne, przypominał sobie, że Richard Wright w autobiografii *Black Boy* przyznał się do przestępczej młodości. Co prawda Wright ukradł najwyżej kilka biletów właścicielowi kina, podczas gdy Eddie przerzucał tajemnicze paczki przez granice stanu, ale pocieszał się maksymą Wrighta, zgodnie z którą biali dopuścili się tak wielu okropności, że okradanie ich nie stanowi naruszenia etyki. I jeśli nawet podejrzewał, że Scarlett wcale nie okrada wyłącznie białych, tłumił w sobie te wątpliwości.

— Gdzie ty jeździsz nocami? — pytała Aurelia, jego niebotycznie wysoko urodzona dziewczyna, o której względy często zabiegał, recytując Andreasa Cappelanus o sztuce miłości dworskiej — w końcu w Amherst jedne z najlepszych zajęć miał z literatury średniowiecznej. Czulili

się, jak to nazywano, w tonącym w półmroku boksie w klubie Scarletta, a nie było to jedno z miejsc, do których chadzali koledzy Eddiego, ani też, co ważniejsze, znajomi Aurie. — Jesteś tak tajemniczy — jakby sama zachowywała się inaczej.

— Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział.

Jak zawsze Aurelia była dużo bystrzejsza od Eddiego:

— W takim razie najprawdopodobniej nie chodzi o kobietę.

— Ty to powiedziałaś — odparł.

— Wiem. — Popijała różowego gin fizza z kirschem, z którego słyszę-ła w całym Harlemie. Pracowała jako felietonistka dla „Seventh Avenue Sentinel”, drugiej co do wielkości murzyńskiej gazety w mieście. Pisała o skandalicznych grzeszkach wszystkich dookoła, ale nigdy o swoich. — W takim razie mówię dalej — stwierdziła i zerwała się na nogi, ciągnąc go za ramię. — Zatańcz ze mną. No chodź.

— Będziemy zwracać na siebie uwagę — powiedział Eddie w ten specyficzny sposób, jakiego nauczył się w Amherst. Koledzy naśmiewali się, kiedy tak mówił, ale kobiety to uwielbiały.

— Wcale nie — drażniła się z nim, jak echo naśladowując intonację jego głosu, i może nawet miała rację, bo lokal Scarletta należał do tych miejsc, w których zawsze pamiętano, żeby zapomnieć, że się tam w ogóle było. Ale zanim zdołali zatańczyć, jeden z ważniaków odciągnął Eddiego na bok i chwilę z nim poszeptał. Eddie, podniecony, powiedział Aurelii, że będą musieli wcześniej położyć się spać, mową ciała przekazując to, czego nie śmiał powiedzieć na głos. Niestety, na Aurie niełatwo było zrobić wrażenie: w jej drzewie genealogicznym, o czym z byle powodu potrafiła przypominać, na pęczki było łajdaków, figurował tam też kongresman z okresu rekonstrukcji po wojnie secesyjnej oraz pierwszy Murzyn, który zarobił milion dolarów na handlu nieruchomościami.

— Nie możesz zadawać się z tymi ludźmi — odezwała się Aurelia, gdy w czarnym deszczu szli przez Harlem. Na butach miała tanie plastikowe kalosze, ale parasolka pochodziła z Paryża, gdzie jej ciotka śpiewała jazz.

— To nie jest takie normalne zadawanie się.

Znała też jego wymówki:

— Niech zgadnę. Chodzi o zbieranie materiałów do wielkiej powieści.

— Coś w tym stylu.

Dotarli do biblioteki publicznej na Sto Trzydziestej Piątej, trzy przecznice od mieszkania, które dzieliła z dwiema innymi kobietami. Samochody parkowały ciasno przy krawężniku i aż dziw brał, że w ogóle mogą się ruszyć z miejsca. Tylko Eddiemu dotąd wolno było iść. Aurelia go pocałowała. Miała pierzaste brwi i okrągłutką buzię wiewiórki. Gdy była szczęśliwa, wyglądała jak swawolny chochlik. Kiedy robiła się poważna, twarz tężała i Aurelia wyglądała jak hollywoodzkie wyobrażenie belferki. Teraz nadszedł czas belferki.

— Rodzina pokłada we mnie pewne oczekiwania — zaczęła. — Jestem jedynaczką. Moja przyszłość ma dla niej znaczenie. I to duże.

— Ciągłe mi to powtarzasz.

— Bo to prawda. — Zmarszczyła brew. — Wiesz, Eddie, hotelowy interes mojego wujka jest...

— Jestem pisarzem.

— Mają hotele w siedmiu różnych...

— Nie mogę tego zrobić.

— Zarabia na tym duże pieniądze. Zawsze będzie dużo zarabiał. Nie obchodzi mnie, co mówi Sąd Najwyższy. Jeszcze przez następne pięćdziesiąt lat będą potrzebne hotele dla kolorowych. A może i dłużej. — Eddie pogłaskał ją po policzku i nic nie odpowiedział. — Chciałam poprosić cię po raz ostatni, ponieważ...

Przykrył dłonią jej usta. Delikatnie. Od lat się o to spierali. I oboje z góry wiedzieli, jak ta rozmowa się skończy. Jak zmęczeni aktorzy recytowali te same wyświechtane kwestie.

— Aurie, ja muszę pisać. Czuję powołanie. To nie jest kwestia wyboru. To kwestia wewnętrznej potrzeby.

— W takim razie powinienes dalej pracować w gazecie.

— To nie było prawdziwe pisanie.

— To były prawdziwe pieniądze.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy Eddie wychodził z dworca w Newark, paru zbirów powaliło go na ziemię. Następnie go skopali, wyrwali mu starannie zawiniętą w brązowy papier paczkę i uciekli. Już kilka tygodni wcześniej upatrzyli go sobie i czekali na właściwy moment, kiedy przestanie mieć się na baczności. Jeden z ludzi Scarletta powiedział mu, że ci faceci przyznali się do przestępstwa. Nie przed policją.

Przed Scarlettem, o którym mówiono, że wie, jak rozwiązywać języki. Eddie w to wierzył. Maceo Scarlett znany był też jako „Cieśla”, podobno w związku z nieszczęśliwym losem, jaki spotkał jego poprzednika, którego prawą ręką był Scarlett w czasach, gdy ten biedak jeszcze miał prawą rękę: coś związanego z gwoździami i piłą. Sąsiad Eddiego o imieniu Lenny, ciemny, chuderlawy nicpoń, który jako pierwszy namówił go do przystąpienia do ekipy Scarletta, zapewnił Eddiego, że na szczęście, tracąc paczkę, nie wpakował się w wielkie kłopoty i jeśli zdecyduje się teraz wycofać, nic mu się nie stanie. Dlatego też, gdy ludzie Scarletta chcieli dać mu drugą szansę, Eddie grzecznie odmówił. Przez następny miesiąc Eddie nie czytał gazet. Nie chciał się dowiedzieć, co się stało z tymi facetami.

(III)

Po tych wydarzeniach Eddie powrócił do mycia samochodów i zamiatania podłóg. Zarabiał niewiele i nic nie odkładał, bo to, czego nie wydał na Aurelię, dzielił z przyjaciółmi i sąsiadami. Rozpowszechniła się opinia, że łatwo go naciągnąć. Wystarczyło poprosić, a on oddałby ostatniego dolara. Nie była to hojność w normalnym znaczeniu tego słowa, ale nie było w tym też wyrachowania. Po prostu tak intensywnie żył chwilą, że nie przyszłoby mu do głowy, żeby oszczędzić choćby dolara na ewentualne jutrzejsze potrzeby. Najbardziej zaangażowany politycznie jego kumpel, pozujący na Lenina Gary Fatek, często powtarzał, że po nadejściu rewolucji Eddie wręczy katu pieniądze, żeby kupić sznur na szubienicę; ale Gary był biały i bogaty, a po Harlemie wałęsał się jedynie po to, by udowodnić, że działa w dobrej wierze. Aurie uważała niefrasobliwość Eddiego w kwestii pieniędzy za uroczą, chociaż w związku z tym rodziło się pytanie — jak sama stwierdziła — czy Eddie jest w stanie utrzymać rodzinę.

— W końcu odniosę sukces.

— W końcu ja wyjdę za mąż. Uważaj więc.

Tak się złożyło, że tę uwagę Aurie rzuciła, wywołując wstydlivy śmiech zgromadzonych, podczas kolacyjki wydanej przez młodą parę, Claire i Olivera Garlandów, w ich mieszkaniu na Dziewięćdziesiątej Trzeciej Zachodniej dla uczczenia wkroczenia Eddiego w świat wyda-

wanych pisarzy. W końcu jedno z jego opowiadań zostało przyjęte przez poważne czasopismo literackie. Ralph Ellison przysłał krótki list. Langston Hughes wznosił toast za wspaniałą przyszłość Eddiego. Eddie nigdy wcześniej nie spotkał tego słynnego pisarza i był podenerwowany. Ale Hughes, najjaśniejsza gwiazda literatury w Harlemie, szybko go uspokoił. Barczysty i stale uśmiechnięty, był charyzmatycznym mówcą starej daty. Przy brandy i cygarach snuł opowieści o ostatnich zagranicznych wozach. Eddie był oczarowany. Langston Hughes wiódł życie, jakiego Eddie zawsze pragnął. Trudno byłoby to porównać z zarządzaniem hotelami w spółce z wujem Aurelii. Oliver Garland, jedyny czarnoskóry prawnik na Wall Street, też chyba wszędzie bywał: on, jego kuzyn Kevin oraz Langston Hughes wymieniali uwagi o restauracjach we Florencji. Eddie, dziecko pastora i pielęgniarce, niewiele wiedział o takich Murzynach.

Na przyjęciu był również Gary Fatek, a także kilku innych białych, jako że ludzie z kręgów młodszych i wykształconych białych Amerykanów z dumą ignorowali rozważny rasizm, któremu hołdowali ich rodzice. Później Gary pozwolił sobie na jeden ze swoich sprytnych politycznych dowcipów, wzywając taksówkę i wsiadając do niej z Eddie i Aurelią, by następnie polecić kierowcy zawieźć znajomych do Harlemu, a dopiero później skierować się do Village, gdzie sam mieszkał. Wszyscy wiedzieli, że w przeciwnym razie żaden taksówkarz w Nowym Jorku nigdy nie jeździłby w rejony położone na północ od Uniwersytetu Columbia. Eddie, będąc człowiekiem dumnym, nie zgodziłby się na uczestnictwo w takiej bzdurze, gdyby nie obecność Aurelii; a i sam Gary prawdopodobnie nawet by tego nie próbował. Biali koledzy są dla nas istotni – tak od dawna Wesley senior pouczał swoje dzieci: bo właśnie oni dzierżą władzę, ostrzegał, i przynajmniej przez jakiś czas tak będzie. Eddie i Aurelia usiedli razem na ławce w taksówce. Gary rozłożył odchylane siedzenie i musiał kurczowo trzymać się rączki, bo kierowca ze złością celowo podsłakiwał samochodem, wyjeżdżając z centrum. Po drodze Gary robił im wykład na temat polityki rewolucyjnej. Był rudzielcem, człowiekiem łagodnym i pewnym siebie. Stwierdził, że w opowiadaniu Eddiego zawarta jest iskierka świadomości klasowej, ale tylko iskierka. Udając przeziębienie, Aurelia chichotała za dłonią w białej rękawiczce. Jeszcze w czasach college'u, w którym po raz pierwszy

ich trójka się spotkała, wszyscy wiedzieli, że Eddiego zupełnie nie interesują kwestie polityczne.

Eddie nie uważał swojego opowiadania za rewolucyjne. Uważał je jedynie za skończone, i tyle. Nosilo tytuł *Wieczorna modlitwa* i zostało opublikowane w „The Saturday Evening Post”. Spodziewano się, że opowiadanie zdobędzie nagrody. Opisywało jeden dzień segregacji rasowej oglądanej oczami małego chłopca podczas całodziennego upokarzania jego dumnego ojca, który był w kościele surowym diakonem i pracował jako portier w hotelu. Na koniec chłopiec pada na kolana, składa dłonie i przysięga, że kimkolwiek zostanie, gdy dorośnie, na pewno nigdy nie będzie Murzynem. Matka Eddiego napisała, że po przeczytaniu przez godzinę płakała. Aurelia pochwaliła opowiadanie w „Sentinelu”, określając autora mianem „najlepszej partii Harlemu”; w ten sposób przekomarżając się z nim na odległość. Agent literacki Eddiego już prowadził negocjacje w sprawie umowy na jego pierwszą powieść. To właśnie w tym opowiadaniu do opisanego Ameryki Murzynów Eddie wymyślił określenie „ciemniejsza nacja” — uchwyciwszy, jak sądził, poczucie solidarności i wyjątkowości. I chociaż później coraz częściej zaczęto używać określenia „czarny”, przez jakiś czas „ciemniejsza nacja” nie schodziła z ust wyższych sfer Harlemu.

A jednak sam Eddie, chociaż trafił na ich usta, mógł jedynie pomarzyć, że trafi w ich kręgi. W tamtych czasach w Harlemie wszystko było zhierarchizowane. Liczył się prestiż i między najwyższym poziomem a środkiem znajdowało się wiele szczebli, nie mówiąc już o dolnych sferach. Niektóre adresy były lepsze od innych. Podobnie niektóre kluby, niektóre małżonki czy małżonkowie, niektórzy znajomi i niektóre przyjęcia. To społeczne zróżnicowanie nie miało specjalnego znaczenia dla szerokich mas Murzynów, ale Eddiego, wbrew jego woli, wychowano w świadomości, kto jest kim w tym świecie. Chociaż ojciec, wybitny pastor, udawał, że takie błahostki nic go nie obchodzą, matka nafaszerowała głowę Eddiego przeróżnymi historiami i podejrzewał, że niektóre z nich są prawdziwe. Przez całe jego dzieciństwo Mary Wesley opowiadała o salonach Harlemu jak o miejscach tak ekskluzywnych, że codzienny bez mała widok stanowił tam George Gershwin i Duke Ellington grający duet fortepianowy. Mówiła o domach tak zbytownie urządzonych, jak mieszkania w wieżowcach przy Park Avenue. Gdy już opowiadanie zaczę-

ło otwierać przed nim drzwi, Eddie nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie spożytkować. Mając sposobność, wykorzystywał własną erudycję i za-błysnął. Piął się w górę. Potrafił jak z rękawa rzucać cytata-mi z Szekspira i Dantego, ale również z Douglasa i Du Bois. Potrafił żartować. Potrafił urzekać. Potrafił prawieć komplementy. W mroźny lutowy wieczór w 1955 roku uczestniczył we wspaniałym przyjęciu zorganizowanym w okazałej rezydencji miejskiej w rejonie Jumel Terrace, eleganckiej brukowanej enklawy w pobliżu Saint Nicholas Avenue, między Sto Sześćdziesiątą a Sto Sześćdziesiątą Drugą. Przyjęcie wydano w celu ogłoszenia królewskich zaręczyn. Książę jednego ze starszych klanów Harlemu miał poślubić księżniczkę z jednego z królestw ciemniejszej nacji ze Środkowego Zachodu. Byli tam wszyscy, którzy coś znaczyli, łącznie z kilkoma białymi politykami oraz licznie przybyłymi mężczyznami i kobietami tak sławnymi, że Eddie nie śmiały się do nich zbliżyć. Jeden z toastów wznosił Robert Wagner, burmistrz Nowego Jorku. Kolejny wygłosił Frank Sinatra. Wszyscy byli pełni życia, oprócz Eddiego, który zazwyczaj ograniczał się do jednego kieliszka, ale tego wieczoru wypił nieco więcej. Eddie był tu z obowiązku, chociaż wołałby być z innego powodu.

Był zakochany w narzeczonej.

Eddie obserwował szczęśliwą parę, przysłuchiwał się, gdy wznoszono kieliszki za szczęście Aurelii Treene i Kevina Garlanda. Gdzieś zniknęło jego zazwyczaj łagodne usposobienie. Czuł, że gotuje się w nim ze złości. Znajomi byli zaskoczeni. Eddie Wesley zawsze był tak spokojny, a do tego tak zabawny. Dzisiejszego wieczoru zaczął innych gości i kłócił się z nimi. W końcu pewien młody człowiek, z którego rodziną Eddie w dzieciństwie spędzał lato na wyspie Martha's Vineyard, został poproszony o odciążenie go na bok i uspokojenie. Jednak Eddie się mu wyrwał. Potem spróbował Harry Belafonte. I jemu Eddie się wyrwał. Langston Hughes również spróbował. Jemu też Eddie się wyrwał. W tym momencie ponura falanga mężczyzn z Harlemu uprzejmie zaoferowała się wspólnie pomóc wystawić tego durnia na ulicę, ale wówczas za-interweniowała przyszła panna młoda. Na oczach wszystkich chwyciła Eddiego za ramię i zaciągnęła do kuchni. Tym razem się nie wyrwał. Ludzie wokół szeptali w podnieceniu. W kuchni krzątała się wynajęta służba, wszyscy w eleganckich, olśniewających uniformach nie odrywali oczu od księżniczki, chociaż udawali, że patrzą w inną stronę.

Aurelia była wściekła.

— Tak to już jest. To nie jest twój świat, więc nie powinnam oczekiwać, że zrozumiesz. Ale mam pewne zobowiązania wobec mojej rodziny.

— A wobec samej siebie? — dopytywał się Eddie. — Czy wobec siebie nie masz zobowiązań?

Aurelia pozostawała niewzruszona. Była poważna jak belferka.

— Jak możemy chronić to, co naprawdę jest ważne, jeśli na pierwszym miejscu zawsze stawiamy siebie?

— Ja nie stawiam siebie na pierwszym miejscu. Zawsze ty jesteś na pierwszym miejscu.

— Dla ciebie na pierwszym miejscu zawsze jest twoje pisarstwo.

— Kocham cię — powiedział, a w jego słowach słychać było rozgoryczenie. — Zawsze będę cię kochał.

Aurelia na moment złagodniała. Dotknęła jego policzka.

— Może gdybyś wcześniej zdecydował się pracować z moim wujkiem. — I po chwili, jakby z przymusu, ponownie pojawiła się belferka. — Na pewne rzeczy nie mamy wpływu. Tak to już jest. — Na takie credo Eddie nie miał odpowiedzi. — A teraz zachowuj się — dodała.

Aurelia powróciła do grona adoratorów i do wyraźnie mało ubawionego całą sytuacją narzeczonego. Eddie doszedł do wniosku, że nadeszła pora opuścić towarzystwo. Jeden czy dwóch znajomych zaofiarowało się wyjść z nim, ale Eddie tylko pokręcił głową. Dlatego też był zupełnie sam, kiedy pół godziny później znalazł zwłoki.

ROZDZIAŁ 2

Krzyż

(I)

Wszystkie zwłoki, na których kiedykolwiek spoczął wzrok Eddiego Wesleya, należały do kogoś, kogo w przeszłości znał, ponieważ jego znajomość z tą formą ludzkiego istnienia pochodziła wyłącznie ze spotkań w domu pogrzebowym oraz z tak zwanych „nabożeństw odprawianych w domu” w parafii ojca. Cały okres służby wojskowej spędził w kraju, a nawet podczas tych kilku miesięcy przepracowanych dla Scarletta nigdy nie tknął tego, co Lenny nazywał szczęśliwym zakończeniem interesu. Było już po północy, kiedy Eddie natknął się na pierwsze w życiu nieznanne mu ciało. Włączył się pośród bujnych drzew parku Rogera Morrisa, po przeciwnej stronie Jumel Terrace niż odbywające się przyjęcie, starając się uspokoić i wspominając, jak to ojciec zawsze przestrzegał ich, że wbrew pozorom pożądanie do niczego ich nie upoważnia. Po zapadnięciu zmroku park był zamknięty dla gości, a do tego nawiedzony, ale Eddie nie wierzył w żadne konwenanse ani zasady, może z wyjątkiem świata literatury, w którym w pełni je akceptował. W przeszłości na terenie parku mieściła się jedna z najsłynniejszych posiadłości na całym Manhattanie, bogato zdobiony palladiański pałac, w którym półtora wieku temu zamieszkiwała Madame Jumel, prawdopodobnie najbogatsza kobieta w okolicy. Było to jeszcze w czasach, kiedy Napoleon sprzedawał Luizjanę, a Harlem Heights stanowiło położoną na uboczu wiejską enklawę białych i zamożnych mieszkańców wielojęzycznego miasta. Harlem epoki Eddiego, po sześćdziesięciu latach narzucania

murzyńskiej tożsamości, posiadał niewiele prawdziwych turystycznych atrakcji, ale wśród tych kilku znajdowała się rezydencja Jumel, choć najprawdopodobniej jej głównym powabem był duch samej Madame, widywanej, jak wychyla się z górnych okien, aby uciszyć niesfornych zwiedzających, i od czasu do czasu przechadza się korytarzem na oczach gości, być może w poszukiwaniu fortuny, którą podobno skradł jej drugi mąż. Za dnia większość Harlemu wyśmiewała historie o duchach, ale nocą wielkim łukiem obchodzono park Rogera Morrisa.

Eddie nie dbał o siły nadprzyrodzone, uznając je raczej za domenę Wesleya seniora.

Potknął się o te zwłoki w cieniu uschniętego wiązu, tuż obok ogrodzenia z kutego żelaza, gdzie nazajutrz pierwszy lepszy przechodzień z pewnością zauważyłby je z chodnika. Potknięcie miało charakter dosłowny, ponieważ Eddie, nie mogąc oderwać zboląłego wzroku od rezydencji, w której z każdą chwilą Aurelia coraz bardziej oddalała się od niego, nie patrzył pod nogi. Potknął się i uderzył piersią w skorupę śnieżnej zasy. Odwróciwszy się, zauważył leżącego za nim mężczyznę, wykręcił się jak kot i zerwał na nogi, przypominając sobie tamtych gości, którzy na niego napadli w Newark. Nawet kiedy po chwili podkrał się bliżej i zauważył elegancki garnitur, łańcuszek od zegarka, brak płaszcza mimo lutowego chłodu, białą skórę, dobrze odżywioną jowialną twarz, zamknięte oczy i nieruchome ręce, był przekonany, że ten mężczyzna celowo podciął mu nogi, ponieważ — nawet po latach nie miał co do tego wątpliwości — gdy pięć minut wcześniej okrążył to samo ogrodzenie, mężczyzny tam nie było.

— Halo — odezwał się Eddie, a z jego twarzy zaczął ustępować wyraz złości, w miarę jak coraz lepiej rozpoznawał widok. Potrząsnął mężczyzną za ramię. — Hej!

Świeży nocny opad śniegu zaczął właśnie muskać miasto i drobniutkie wirujące płatki osiadały na czole nieznanomego, jego wargach oraz na dłoniach złożonych na wydatnej piersi. Jednak mężczyzna nadal się nie ruszał.

— Wszystko w porządku? Halo. Niech pan się obudzi!

W tym momencie Eddie wiedział już, że ten gość się nie obudzi. Biały człowiek, martwy, w Harlemie. Prasa będzie miała używanie. Nie obawiając się, ale chwilowo niepewny swego położenia, Eddie ukląkł na zmarz-

niętej ziemi i rozłożył pulchne ręce mężczyzny, zdecydowany sprawdzić mu tętno, chociaż nie miał pojęcia, jak to się robi. Po kolei odginał palce, kiedy nagle coś złotego błysnęło i wpadło w śnieg. Eddie sięgnął i podniósł krzyż, długości może czterech centymetrów, ozdobnie wykonany, z inskrypcją, której w słabym blasku latarni za ogrodzeniem nie potrafił odczytać. Po chwili zauważył, że słowa były odwrócone do góry nogami. Zaczął kręcić nim do światła i w końcu udało mu się odczytać „Wolnymi”, ale w panujących ciemnościach nie dostrzegwał nic więcej. Może następne słowo było „urodzeni”? Jednak światło było zbyt słabe.

Krzyż wisiał na złotym łańcuszku, w nietypowy sposób przewleczonym przez oczko na jego dolnym, a nie na górnym końcu, w związku z czym, gdyby mężczyzna nosił go na szyi, krzyż musiał wisieć do góry nogami, a słowa biegły jak należy. Eddie zastanawiał się, dlaczego ten człowiek tak mocno go trzymał. Może szukał ochrony? Ale przed czym? Nachyliwszy się bardziej i zmrużywszy oczy, Eddie zdobył pierwszą wskazówkę. Tłustą szyję otaczał skórzany pas wcinający się w odbarwione ciało. Ten mężczyzna został uduszony.

Eddie zerwał się na równe nogi, starając się wzmóc czujność zamroczonych zmysłów. Jeśli pięć minut temu nie było tu tego ciała, zabójca musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Nasłuchiwał, ale zewsząd dobiegało go chrzęszczenie śniegu. Wytężał wzrok, ale pośród drzew kołysało się mnóstwo cieni. Eddie nie był głupi. Garota była czymś w stylu Scarletta albo kogoś podobnego do Scarletta, a wszyscy ludzie pokroju Scarletta nie znosili świadków.

Wytań krzyż, wcisnął go na powrót w zimne martwe dłonie i pospiesznie się oddalił. Tym razem przeczołganie się przez dziurę w ogrodzeniu sprawiło Eddiemu więcej problemów niż zwykle, może dlatego, że drzał na całym ciele. Przedzierając się w stronę chodnika, cały czas spodziewał się, że lada moment garota owinie się wokół jego szyi. Spojrzał w stronę rezydencji, ale nie zniósłby upokorzeniu powrotu. Ruszył na południe. Słynna knajpa i bar z grillem na Sto Pięćdziesiątej Piątej, U Grubego, była otwarta do późna, zawsze wypełniona murzyńskimi znakomitościami. Jeśli tylko udało się tam dostać, U Grubego warto się było pokazać, a teraz Eddie chciał być widziany jak najdalej od parku Rogera Morrisa. Z automatu telefonicznego na zapleczu zadzwonił na policję, nie zawracając sobie głowy podawaniem swojego nazwiska.

Zamówił drinka, ale miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Może dlatego, że nie był tu bywalcem. Może dlatego, że drżał na całym ciele i się pocił. A może w rzeczywistości nikt nie patrzył, Eddie wołał jednak nie ryzykować. Rzucił pieniądze na ladę, nawet nie przeliczając: chyba dał dostatecznie dużo, bo barman podziękował mu, a nawet powiedział do niego „sir”.

Jego mieszkanie, hałaśliwe i duszne, znajdowało się w wąskiej kamienicy bez windy przy Sto Dwudziestej Trzeciej, pod adresem, do którego rzadko się przyznawał osobom spoza malutkiego kręgu znajomych, ponieważ Valley, bo tak tę dzielnicę nazywali znawcy, z pewnością nie należało do najatrakcyjniejszych zakątków Harlemu. W celu odbierania korespondencji od krewnych rozważnie zainwestował w skrytkę pocztową. Na drugim piętrze, w swoim przyprawiającym o klaustrofobię mieszkaniu, Eddie pocił się przez całą noc; przycupnąwszy na nierównym, ale starannie posłanym łóżku, z czasopismem na kolanach i kijem baseballowym pod ręką obserwował cuchnący zaułek, który musieliby pokonać, żeby dostać się przez boczne drzwi, gdy już po niego przyjdą.

(II)

Rankiem w mieście wrzało. Martwym mężczyzną okazał się adwokat, niejaki Castle. Eddie nigdy o nim nie słyszał, ale przeczytał wszystkie nekrologii jakie udało mu się dorwać. Philmont Castle najwyraźniej był koryfeuszem Wall Street. Wielkie korporacje z całego kraju nadsyłały kondolencje. Podobnie zrobiło kilku aktorów filmowych. Eddie przewracał kolejne strony. Można było odnieść wrażenie, że nie ma nikogo, z kim ten prawnik by się nie zaprzyjaźnił. Prezydent Eisenhower powiedział, że cały naród bardzo głęboko odczuwa stratę Phila Castle’a. Przyrzekł wsparcie ze strony władz federalnych w wytropieniu odpowiedzialnych za popełnienie tej odrażającej zbrodni — czy coś w tym stylu. Adwokat bardzo angażował się w zbieranie funduszy dla Partii Republikańskiej. Był też oddanym mężem i ojcem. I filarem swojego Kościoła. A ubiegłego wieczoru gościem na „przyjęciu zaręczynowym w Harlemie”.

Eddie z trzaskiem odłożył gazetę.

Mimo usilnych starań nie potrafił dopasować widniejącej na wszystkich pierwszych stronach uśmiechniętej twarzy do jakiegokolwiek bia-

łego z ubiegłej nocy. Ale było ich tam tak wielu, a sam Eddie, jeśli już trzymać się faktów, przede wszystkim gapił się na narzeczoną. Przewracał kolejne strony. Ani słowa o przyczynie zgonu, podano jedynie, że popełniono morderstwo. Portfel Castle'a zaginął. Policja określiła to mianem napadu rabunkowego, co akurat dosyć często się zdarzało w Harlemie, chociaż gazety białych zdawały się nieświadome, że w dzisiejszych czasach przestępczość w obrębie elegantszych kwartałów jest dość rzadka. Trudno byłoby szukać jakichkolwiek dywagacji na temat tego, co prawnik z Wall Street robił na terenie rezydencji Jumel. Ani słowa o krzyżu w zaciśniętych dłoniach martwego Castle'a, w którąkolwiek stronę zwróconym. I ani śladu aluzji do tego, że widziano wściekłego, podpitego murzyńskiego pisarza, który opuścił przyjęcie mniej więcej o tej samej porze co zmarły.

Władze nie przesłuchały Eddiego. Mijały kolejne dni. Nie potrafił zapomnieć o tamtym krzyżu. Żałował, że nie zdążył doczytać inskrypcji. Postanowił podjąć ryzyko wysłania jednego z rzadkich listów do Wesleya seniora, formułując swoje pytanie, ale nie wyjaśniając, dlaczego go to interesuje. Pastor odpowiedział zwrotną pocztą. Chociaż raz ton jego odpowiedzi był cierpliwy. Wesley senior lubił przybierać ton mentorski. Odwrócony do góry nogami krzyż często był nazywany krzyżem świętego Piotra, gdyż jak podaje tradycja, w ten sposób został ukrzyżowany najważniejszy apostoł. Kościół rzymskokatolicki uważał ten symbol za świętość. Z upływem czasu, dodał pastor, odwrócony krzyż przejęli jako obiekt czci wyznawcy Szatana lub, jak to określił Wesley senior, cytując Pismo Święte, wyznawcy „diabła i jego aniołów”.

Eddie doszedł do wniosku, że z pewnością jest to tylko zbieg okoliczności.